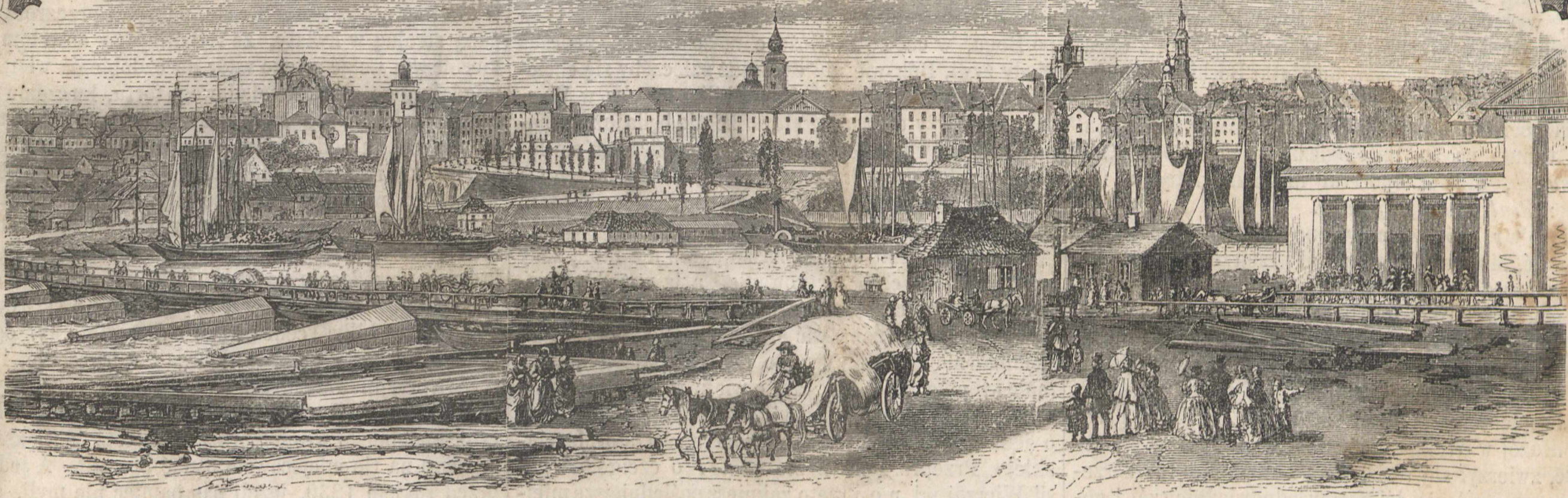


# TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 8.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 7/19 listopada 1859.  
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

## TREŚĆ NUMERU.

Stanisław Moniuszko (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Kronika literatury bieżącej. — Kronika sztuk pięknych. — Wiśnicz (z drzeworytem). — Kaplica w Rogalinie (z drzeworytem). — Ochrony warszawskie (z drzeworytem). — Nowy Kastor i Polluks, albo historia o dwóch zasuszonych kawalerach na warszawskim bruku (ciąg dalszy). — Rozmaitości. — Korrespondencya od redakcyi. — Doniesienia. — Dom Mikołaja Kopernika w Toruniu (z dwoma drzeworytami). — Szachy i rebus.

### Stanisław Moniuszko.

Jednym z najpopularniejszych dzisiaj u nas kompozytorów jest bez zaprzeczenia Moniuszko. Aż do wystawienia „Halki” utwory jego, jakkolwiek przez niewielkie grono prawdziwych znawców i miłośników muzyki cenione, przecież w Warszawie nie były tak znane jak na to zasługiwały. Kilkanaście ułotnych jego pieśni, tu i owdzie wydanych, parę *Śpiewników* wyszłych nakładem Zawadzkiego w Wilnie, a z powodu dosyć wysokiej ceny mało komu przystępnych, tudzież operetka pod tytułem „Loterya”, przedstawiona kilka razy na tutejszej scenie w 1846 r., nie były w stanie na ich twórcę zwrócić powszechnej uwagi. Litwa i inne zachodnie gubernie cesarstwa, więcej nierównie ubiegały się za kompozycjami Moniuszki. Wyżej je cenić umiały. W każdym dworku nawet, skoro tylko był w nim kto, co dźwięczną, chociaż nieuczoną nutą umiał pieśń rodzinną zanucić, śpiewano melodye tego kompozytora, bo rzewność jaką się głównie zalecają, trafiała do uczuć współziomków, serca ich na wskrós przenikała, a wolne od wszelkiej uczoności i pretensyi, nie pisane dla efektu, nie układane dla zdobycia chwilowego poklasku tej niby publiczności, co to w stolicach wydaje patenta na większe lub mniejsze powodzenie utworu, pomału, spokojnie, coraz bardziej w tamtych stronach się upowszechniały.

Dla wysławiania tej trudnej do oznaczenia dzisiaj liczby piosnek Moniuszki, nie potrzeba ani nadzwyczajnego głosu, ani uczoności. Każden co czuć umieć, co ma jakiegokolwiek pojęcie muzyki, z łatwością je wykona, tak wielką prostotą melodyjnego deseni się odznaczają. I w tym leży, według nas, największa ich zaleta, w tym leży trwałości ich rękojmia; bo przystępne dla wszystkich, upowszechniając się bez trudu, snadniej także w żywotne soki narodu wsiąknąć muszą. Niektóre pieśni Moniuszki można już słyszeć śpiewane tu i tam bez akompaniamentu fortepianowego, co dziś jest najwyższą zaletą kompozytora, jego obywatelskiem uprawnieniem. Kto przy klawiszach fortepianowych i za ich pomocą, a nie w sercu i duszy swojej szuka do słów melodyi, ten nigdy nie zazna co to jest natchnienie, ten macając palcami klawisze by wejść na drogę melodyi, jak ślepy płotu się trzyma, żeby nie zboczył z traktu; rozminie się z prostotą,

rozminie się z prawdą, jaka cechować powinna każden utwor dla ogółu publiczności przeznaczony. Nie palce natchnieniem, ale natchnienie palcami kierować musi; jest to prawda nie ulegająca żadnej wątpliwości. Ależ patrzmy jak wielu terażniejszych kompozytorów od niej odbiegło. Dzieła swoje kunsztowności szatą odziewając, szukają oni upoczywie nowych lub niezwykłych efektów, jak gdyby w tém cała piękność sztuki spoczywała; więcej estradę koncertową, więcej kosmopolityczny salon i jego tuzinkowych wirtuozów mają na względzie, aniżeli samą muzykę, aniżeli ten ogół publiczności, który sam tylko zrozumiawszy i ukochawszy mistrza, sam też jedynie zapewnić mu może na niwie sztuki rodzinniej trwałość, wiekami niepożyty rozgłos i uznanie.



STANISŁAW MONIUSZKO.

Jeżeli drobniejsze dzieła Moniuszki nie są jeszcze upowszechnionemi u nas tak jak być powinny, jeżeli w tym względzie zaniemeńskie i zabużańskie prowincye nas wyprzedziły, to nie pochodzi ztąd, ażebyśmy ich ocenili i poznać się na nich nie umieli, ale raczej ze zbiegu rozmaitych innych okoliczności. Lecz dziś, skoro jego „Halka” tak przeważnie zawładnęła losami sceny naszej, gdy go wyrwała z Wilna i do Warszawy sprowadziła, niepłoną jest nadzieja, że długo mimowolnie na jego prace obojętni, pójdziemy w ślad za innymi. Już teraz mało koncertów na którychby piosnki Moniuszki się nie odbywały; nie ma salonu gdzieby ich nie śpiewano. i gdyby tylko cena *Domowych śpiewników* jego przystępniejszą była, gdyby w większej ilości rozchodzić się po kraju mogły, nie ma wątpliwości że wraz z innymi utworami zacnych naszych kompozytorów, jak Dobrzyńskiego, Nowakow-

skiego, Komorowskiego i t. p. wyrugowałyby do szczytu z naszych miast, pałaców i dworków wiejskich, zagraniczne melodyjne zielska, a zdrowe ziarno ojczystej niwy w bujny plonby urosło.

Przedstawiając czytelnikom naszym wizerunek tego pełnego już zasług dla rodzinnej sztuki kompozytora, mamy sobie za obowiązek choć w krótkich słowach podać niektóre szczegóły jego życia.

Stanisław Moniuszko urodził się w gubernii mińskiej 1819 r., w majątności należącej do jego rodziców. Pierwsze uczucia muzyczne rozbudzone w nim zostały „Śpiewami historycznymi” Niemcewicza, które własna jego matka miłym nadzwyczajnie głosem wysławiała. Te poważne melodye, opiewające wielkie bohaterów narodowych czyny, tak dalece zawładnęły młodziutkim umysłem dziecięcia, tak silnie w pamięć jego się wbiły, że chociaż miał zaledwie lat pięć wieku, już wszystkie najdokładniej śpiewał nieuczony. Ta niezwykła łatwość pojmovania i pamiętania muzyki, dla dojrzałych nawet ludzi nie bardzo dostępnej, zwróciła uwagę rodziców. Przekonawszy się tedy że syn ich posiada szczególną zdolność i upodobanie do muzyki, postanowili niczego nie szczędzić, by dać dziecku możność kształcenia się w tej sztuce. Nauczycielami Moniuszki na fortepianie byli: na wsi własna jego matka, w Warszawie znany organista Freyer, a w Mińsku zacny Dominik Stefanowicz. Ten ostatni, rozmiłowany w sztuce, olśniony talentem swego ucznia, dostrzegłszy w nim świętą iskrę zapалу, płonącego skrycie na dnie tej młodocianej duszy, wpływem swoim moralnym, tudzież dobrze skierowanymi studjami, tyle na nim wymógł, że odtąd Moniuszko jedynie muzyce poświęcić się postanowił, obierając ją sobie za poważny cel żywota. Rodzice, nie stawiając żadnych przeszkód na tej drodze synowi, wysłali go w r. 1837 do Berlina, gdzie przez lat 3, pod światłym kierunkiem Rungenhagena, nad harmonią i kontrapunktem bez przerwy pracował.

Od roku 1840 osiadł Moniuszko stale w Wilnie, truduąc się daniem lekcji na fortepianie; był to jedyny sposób utrzymania jaki to miasto dostarczyć mu mogło, a w wolnych chwilach od codziennej pracy, oddawał się z rozkoszą kompozycyi. Jakoż wkrótce ukazało się na widok publiczny kilka jego pierwszych pieśni, pomiędzy któremi jedna prześliznęła, pod tytułem *Niepewność* (słowa Mickiewicza), zwróciła na siebie uwagę tak artystów, jako i światłych miłośników muzyki. W roku 1846 przybył Moniuszko do Warszawy i wystawił wspomnianą już wyżej operetkę „Loterya”, a poznawszy się bliżej z Włodzimierzem Wolskim, otrzymał od niego libretto „Halki”, opery w dwóch aktach, do której natychmiast skomponował muzykę i złożył ją w bibliotece dyrekcji teatrów. Nie mogąc się atoli doczekać jej przedstawienia, powrócił Moniuszko do Wilna, do dawnych swych zatrudnień, gdzie

oprócz innych pomniejszych utworów, skomponował kantatę do słów znakomitego naszego pisarza J. I. Kraszewskiego p. t. *Milda*, i takową w Petersburgu w r. 1849, a następnie w dziesięć lat później w Warszawie, z wielkim powodzeniem wykonał. Do większych jego utworów, skomponowanych od czasu osiedlenia się w Wilnie, należą: *Cztery litanie* z chórami i orkiestrą, na cześć Najświętszej Panny Ostrobramskiej, wykonane podczas grobów Wielko-piątkowych bieżącego roku; trzy *Msze* z tekstem polskim, z towarzyszeniem organu; *Hymn* do Matki Boskiej na sopran solo, chór i orkiestrę; *Dziady*, kantata do trzeciej części poematu Adama Mickiewicza; *Niola*, także kantaty, osnuta na tle mitologicznym; pięć *Śpiewników domowych*, tudzież operetki nieznanie dotąd u nas wcale: *Ideal*, *Betty* i *Cyganie*.

Skoro w r. 1857 postanowiono Halkę na scenie naszej wystawić, Moniuszko zaprzagnął przejrzeć wprzód partyturę przed jedenastą laty napisaną, i w tym celu w końcu tegoż roku przybył do Warszawy. Dopełniwszy przeglądu opery, już miał ją zostawić mniej więcej w pierwotnej szacie i nazad do Wilna pospieszyć, gdy z powodu kry gęsto na Wiśle płynącej, musiano dla bezpieczeństwa most rozebrać. Zmuszony pozostać dłużej w Warszawie, a niechcąc czasu na próżno tracić, zwierzył się Wolskiemu z zamiarem rozszerzenia opery, nadania jej formy odpowiedniejszej i godniejszej sceny dla jakiej ją przeznaczył. Wolski chętnie się na to zgodził; parę scen rozszerzył, parę aryj dodał, Moniuszko muzykę do nich dorobił, a działa się to wszystko z niesłychaną szybkością, do której tacy tylko autorowie mogą być zdolni. Tak więc, w skutek zdjęcia mostu na Wiśle, Halka z dwóch na cztery akty przerobioną została, a pomiędzy innymi najpiękniejszy jej ustęp: „Szumią jodły na gór szczytce,“ owa arya którą Dobrski zachwyca dzisiaj słuchaczy, jakby jednym pociągiem pióra, jakby z jednego artystycznego technienia przyszła na świat, uroczą pięknnością wiersza i niewysłowionym wdziękiem muzyki.

Pierwsze wystawienie Halki dnia 1 stycznia 1858 roku stanowi epokę w dziejach naszej muzyki narodowej. Przyjęta z niesłychanym zapalem, dziś jeszcze, pomimo pięćdziesięciokrotnego na scenie przedstawienia, tłumy publiczności sprowadza i sprowadzać będzie, dopóki nie zgaśnie u nas uczucie przywiązania dla wszelkich znacznych produkcji na rodzinnym niwie.

W kilka miesięcy później, na żądanie dyrekcji teatrów, napisał Moniuszko muzykę do opery w jednym akcie pod tytułem *Flis* (słowa Stanisława Bogusławskiego), i wystawił ją z powodzeniem dnia 24 września tegoż samego roku. Obecnie zaś, jako dyrektor opery, (którą to posadę prezes dyrekcji teatrów ofiarował mu w końcu zeszłego roku), pracuje nad wykończeniem Korzeniowskiego *Rokiczany* i Wolskiego *Hrabiny*. Treść drugiej, osnuta na tle społecznego warszawskiego życia, w ostatnich czasach pruskiego panowania, niemałych podobno jest zalet i zawierać ma w sobie wiele żywiołu komicznego.

Chęciński Jan, autor pięknej komedii *Szlachectwo duszy*, napisał także libretto pod tytułem *Paria* i wręczył takowe twórcy Halki, by je brzmieniem muzyki ozdobił i do życia powołał.

Jak widzimy, Moniuszko nie spoczywa; czy siłą swego talentu pokona trudności, jakie trzy te dzieła, poczęte w tak odmiennych warunkach, przedstawiać się zdają kompozytorowi? nie do nas należy przesądzać. Wkrótce zapewne publiczność sama wezwana zostanie do sądu, a wyroki jej w tym względzie, sprawiedliwe i nieodwołalne, z roskoszą, a jak się wolno spodziewać, i z dumą zanotujemy.

## Kronika tygodniowa.

Dnia dziesiątego listopada r. b. poważny i uroczysty obchód miał miejsce w kościele ks. reformatów w Warszawie. Była to stuletnia uroczystość pogrzebienia kości ludzkich, zebranych na dawnym cmentarzu tego zakonu. Uroczystość ta odbyła się z wielką pompą religijną, przy licznie zebraniu się pobożnego ludu, który nietylko kościół, cmentarz kościelny, ale i całą prawie przyległą ulicę zapełniał. Tak to zwłoki ludzkie leżały dawniej rozrzucone w ko-

ściołach i cmentarzach kościelnych, dopóki umarli nie zaczęli naśladować przykładu żywych, i nie upowszechniła się między nimi centralizacja. Takie miasto umarłych jak Powązki, pochłonęło odtąd w sobie całą tę rozpierchłą ludność zagrobową, i niezawodnie ilość ciał ludzkich tam pogrzebanych przechodzi o wiele liczbę żywych mieszkańców przyległej Warszawy. Tylko napisy nad domami więcej tam jednakże: każdy z umarłych pragnąłby się jedynie szczycić życiem po Bogu, w cnocie i miłości chrześcijańskiej, podczas kiedy żywi, Bóg wie nie czém już zalecaćby się chcieli oczom przechodniów. Znam kilku mężów w Warszawie, którzy dali sobie słowo że nie będą już z żonami przez główne ulice miasta przechodzić, tak się lekają wszelkiego rodzaju zachceń, wyradzających się na widok wszystkich tych okazałości, które się tam spotyka.

Ale dajmy temu pokój; nasze panie nie lubią żeby im wymawiono chęć zbytkowania, a ja w żadnym razie na gniew ich nie chciałbym się narazić. Oto wypada mi raczej naprawić jedno zapomnienie, które pomimo mojej woli wcisnęło się w zeszlotygodniową moją kronikę. Mówiłem tam o wielu rzeczach: o Szyllerze, literaturze, muzyce i teatrze, a zapomniałem o jednej najważniejszej, o uroczystości święto-Marcińskiej. Przepraszam ciebie za to, o czcigodna gęsi! Wierzaj mi, nie przeto zajmiesz pośledniejsze miejsce w moim szacunku, żem na chwilę zabaczył o twojej wiekowej powadze, a nawet wiem o tém dobrze, że dość krzykliwie potrafisz dopominać się o prawa swoje; czyto jako żywy ptak w kapitole, czy też jako część skrzydłata tego ptaka na papierze. Zresztą, jak to mówi jeden z dawniejszych poetów:

Kto z was chce, mili bracia, smak utracić w mięsie,  
Niech zjada należycie przyrządzone gęsie.  
Miły z onych odorek na cały dom bucha,  
A nie zabacz im jabłek wydłubać ze brzucha,  
To jak obczyścisz wszystkie te sosy i szmalce,  
Od wielkiego ferworu będziesz lizał palce.

To tak zupełnie, jak po owęj sławnej składkowej kolacji na cześć Szyllera, na której kaźden co chciał do niej należyć, kupił sobie gdzie chciał i za ile chciał. To mi dopiero wygodna składkowa kolacja!

Kiedy już mowa o tej zeszlotygodniowej uroczystości, dodać musimy, że jak nas upewniano, dochód z widowiska wyniósł mniej więcej 11,000 złp. Ponieważ wydatki i połowy tej summy nie dochodzą, pozostała reszta tego Szyllerowskiego funduszu, jak już o tém pisma peryodyczne donosiły, komitet ma użyć na cele literackie i artystyczne. Jeżeli nam wolno tu z naszym zdaniem się odezwać, to sądzimy że właściwiej byłoby jakąś część tej summy na nagrodę nowego konkursu dramatycznego przeznaczyć. Z nowym rokiem rozsądną już będzie ostatnia nagroda konkursowa, z daru hr. Starzeńskiego pochodząca. Zdaniem samychże sędziów sztuki coraz lepsze są nadsyłane, widocznie więc konkursu wpływają na ożywienie tej gałęzi literatury. Sądzimy zaś, że najlepszym uznaniem pamięci Szyllera, będzie dbałość o dobro sceny, która zawsze była najgłówniejszym i najbardziej ulubionym żywiołem prac jego.

Lekkie zaledwie wspomnienie mogliśmy dać w przeszłym tygodniu o przedstawieniu 2 aktu „Dziewicy Orleańskiej.“ Obecnie dodać winniśmy, że pannie Palińskiej należy się palma tego wieczoru, ona bowiem deklamacją i grą swoją tak górowała ponad innymi artystami, jako niegdyś Ajax, pan siedmiokórnej tarczy, który w walce pod murami Troi wszystkich Greków głową przewyższał. A że jednak zawsze i we wszystkiemu musi się znaleźć opozycja, napotkaliśmy takich, którzy pannie Palińskiej zarzucali przesadę, utrzymując że tak nikt nie mówi w okóło nas, artystka zaś przedewszystkiem winna mieć na celu wierne oddanie rzeczywistości.

Nie można zaprzeczyć, słuszne to bardzo zdanie. Prawda, święta prawda; nie mówi tak ani mój sąsiad krawiec, ani szewcowa z przeciwka, ani pan kassyer na drugim pięttrze, ani pani adwokatowa, co mieszka na pierwszym od frontu, ani nawet pan magister filozofii z dołu, choć to uczony człowiek i trudni się podobno zbieraniem różnych szpargałów zapleśnialych. Kucharka, kiedy przyjdzie rachunek robić z miastą, nie będzie się odzywać jak Joanna d'Arc, i pan Jakub przy preferansie, nawet kiedy jest w największym uniesieniu i kłóci się o podegranie i wypuszczenie ćwika, nie będzie podnosił głosu w ten sposób. Bo też ani krawiec, ani kassyerowa, ani kucharka,

ani pan Jakub nie są dziewicą orleańską, zaręczam wam za to.

Przedstawienie obrazów z żyjących osób pokrywam ponurym milczeniem, tak mnie bowiem tam zasmucił ów melancholizny pogrzeb, na którym widziałem kilka cieniów chińskich, niosących jakiś sprzęt jeszcze czarniejszy od nich, że już mi rozjaśnić czoła nie mogła nawet apoteoza Szyllera, chociaż trzymana była w tak pięknej różowej barwie, pokrytej przezroczystą gazą strojną w kwiaty, że radzilibyśmy artystom cukierniczym wziąć z tego wzór do ozdobienia wierzchu migdałowego albo czekoladowego tortu, ku czemu niedługo nadchodzące święta Bożego Narodzenia albo Nowego Roku podadzą im zapewne sposobność.

„Czarna i Biała“ jednoaktowa sztuczka, przedstawiona po pierwszy raz w zeszłą niedzielę w teatrze Rozmaitości, należy do rzędu tych wesołych drobniostek francuzkich, bez żadnej wewnętrznej wartości, których powodzenie na grze artystów jedynie polega. Panny Palińska, Łapińska, Ziwołka i p. Świeszewski odegrali te kilka scenek żywo i dowcipnie. W ogóle drobniostki tego rodzaju dobrze idą na scenie, i dobrze są przyjmowanymi przez publiczność; szkoda tylko że u nas nie znalazł się dotąd żaden młody talent, któryby podobnego kroju obrazki (choć z większym sensem) na tle miejscowym osnuć potrafił. A jednak przed rokiem 1830, jeżeli nas pamięć nie myli, grywane były w ówczesnym „Małym teatrze“ podobne sztuczki, tak oryginalne jak i przepolszczone, że przytoczymy tu „Intrygę przy straganie,“ „Miłość na Przymytku“ i t. d. Gdyby był teatr wyłącznie poświęcony ludowym widowiskom, znaleźliby się także i autorowie piszący do niego.

Z innych nowości teatralnych możemy wam zapowiedzieć, oprócz opery „Faworyta,“ o której już pisma peryodyczne donosiły, przedstawienie na scenie wielkiego melodramatu pod tytułem „Ewa“ i komedyjki „Anglik,“ tak jedno jak i drugie z francuzkiego tłumaczone. Następnie ma iść komedia p. J. Korzeniowskiego „Majątek albo imię,“ która zapewne rozpocznie szereg przedstawień kilku innych oryginalnych komedij.

Cały prawie ruch literacki zabsorbowały obecnie kalendarze, ich teraz epoka, one królują. A jest tego łaska Boża, rozmaitych formatów, wydań i wzorów. Chromolitografowane, drzeworytnicze, książkowe, ilustrowane, gospodarskie, biurowe, biurkowe, ściennie, okienne i kieszonkowe, za złotówkę, za 6 groszy, za 5 groszy, nawet darmo. Tak jest darmo! Pan Unger w dodatku do swojego zwykłego kalendarza, odznaczającego się doborową treścią przedmiotów w nim zawartych, ogłasza darmo kalendarz kieszonkowy; poczekajmy jeno trochę, a zobaczymy, że niedługo będą nam pieniądze kieszonkowe dodawać do kalendarzy. Pan Jaworski również w bieżącym roku wystąpił z licznym szeregiem artykułów, tak gospodarskich jak i belletrystycznych. Kalendarz obserwatorium astronomicznego ma także wkrótce wyjść z druku i zawierać niesłychanie ważne dane statystyczne, tyżące się naszego kraju. Jeżeli nasz naród nie nauczy się w bieżącym roku dokładnie rozmierzać czasu, to chyba jego w tém będzie wina, bo na studyach kalendarzowych nie brakuje mu. Obliczyliśmy, że wszystkie razem wydania wyniosą do 50 tysięcy egzemplarzy. To dowodzi, że znajduje się u nas w kraju 50 tysięcy kupujących rzeczy drukowane, a przynajmniej trzy razy więcej czytających; to bardzo wiele, prawdę powiedziawszy nie spodziewaliśmy się tak znacznej liczby.

Z innych nowin możemy wam donieść że p. Zacharyasiewicz, znany powieściopisarz bawiący obecnie w Warszawie, ukończył już powieść trytomową p. t. „Na kresach,“ która, jak słyszeliśmy, ma wyjść z druku, nakładem jednego z wydawców tutejszych; że tenże autor pracuje nad dramatem historycznym „Kniaź Iwonia“, którego treść wzięta z dziejów księstw nadunajskich. Pan Aleksander Szedler, znany z kilku prac dramatycznych, napisał komedią salonową w 2ch aktach p. t. „Historia praciotuni,“ która może użyteczni się kiedyś i dla sceny naszej. Syrokomla ukończył historyczny dramat, albo raczej obraz dramatyczny, „Sąd Jana Kaźmirza.“ Utwór ten będzie drukowany w felietonie „Gazety Codzienniej“, a możemy go z góry zalecić, jako odznaczający się kilkoma bardzo pięknymi ustępami. Tamże ma być drukowaną nowa powieść J. I. Kraszewskiego „Syrena,“ napisana, jak słyszeliśmy, podczas pobytu w Warszawie tego utalentowanego autora, który z bezprzykładną

czynnością i poświęceniem potrafi tyłu na raz trudnym obowiązkom stawić czoło. Pan J. Korzeniowski zaś ukończył nową znów komedią, której tytułu nie znamy, a którą ma wkrótce czytać w poufnym kółku literacko-artystycznym, następnie zaś drukować w felietonie „Gazety Warszawskiej“.

Zanim odetchnę po tych wszystkich jednym ciągiem wypowiedzianych nowościach, wspomnę jeszcze o nowym „Śpiewniku domowym“ p. Moniuszki. obejmującym same tylko poezje i ballady Mickiewicza, i o zamierzonym przez tegoż p. Moniuszkę wydaniu „Śpiewnika muzyk kościelnych“. A i poranki muzyczne p. Wieniawskiego, na które abonament ogłoszony już został, godne są przychylnego wspomnienia, jako zamiar dawno już przez tutejszych lubowników powzięty, a dopiero obecnie za współdziałaniem p. Wieniawskiego w czyn wprowadzony. Również wiemy z dokładnych źródeł, że p. Apolinary Kątski, w podróży swojej artystycznej nie zapomina o Instytucie muzycznym; uzyskał już, jak słyszeliśmy, kilka stałych stypendyów, i niezależnie od tego, obfite fundusze, na urządzenie samego już zakładu, udało mu się zebrać. Sztuka to niełatwa, przy ciągłym uzależnieniu się na ciężkie czasy i oziębłości do poświęceń tego rodzaju. Ale, i jakże tu wam nie donieść jeszcze o ogłoszonej przez p. Pecę prenumeracie na album hetmanów polskich, do której to publikacji p. Bartoszewicz ma dostarczyć tekst, a p. Gerson rysunki, starannie z wiarogodnych wyszukane źródła.

A teraz, niestety, dzisiejszą kronikę smutnym mi wypada zakończyć wspomnieniem. Ale trudno, wszak tego rodzaju sprawozdania tygodniowe, są tylko wierzchnim odbiciem życia: jak tu tak i tam, śmiech i łzy razem się mieszają z sobą.

Narodziła się ona (nie kronika, ale ta o której przedwczesnym zgonie przychodzi mi pisać) podczas gwarliwych ucies karnawałowych, izdawało się że ta najweselsza w roku epoka urodzenia, powinna być stać się dla niej wróżką życia, ucies i zabaw pełnego. Tak też i działo się w istocie rzeczy. Życie to płynęło pomiędzy balami, przechadzkami, koncertami i teatralnymi widowiskami, a wszędzie była ona królową, wszędzie błyszczała na pierwszym miejscu i wszyscy hołd jej składali. Nie pogardzała jednak i domowym zaciszem, ukazywała się dobrym przyjaciółom i znajomym w negliżu nawet, i to było nie najmniejszą oznaką łask jej drogocennych. Władczyni mody, dług trzymając jej berło, widziała najwykwintniejsze nawet wymagania i kaprysy korzące się pod jej stopy. A rosła ciągle, coraz wynioślejsza i okazywała, nie dbając o obmowę, nieczuła na sarkania płci naszej męskiej, niezmiernie uznającej estetyczność gustu kobiecego, chociaż ta estetyczność drogo ją kosztuje. Nie była ona jednak bez wady, bo któż jest doskonałym na tym świecie? Zarzucić jej można było ciągle i bezprzerwane nadymanie się, w obec wszystkich co napotkała; przywykła do królowania, nie cierpiała obok siebie żadnej zapory. Kiedy ją spotkałeś na ulicy, musiałeś się przysunąć do muru i zrobić się cienkim, żeby wolne zapewnić jej przejście, inaczej bez litości spychała cię do rynsztoka. Ogromnie to absorbująca była bowiem istota; zajmowała tyle miejsca, że w koło niej wszystko drobnym się wydawało. Sztynna i nieugięta, bo dla większego umocnienia jej kibici stalowe druty za gorset jej służyły, umiała znów z drugiej strony w danym razie zręcznie się ułożyć i tak nagiąć w potrzebie, że w jednej chwili malała, nikła, jakby już jej nie było. Tak żyła długo, okazale, radośnie, obudzając, jak wszystkie tu wielkości ziemskie, cześć najwyższą i zawiść najczarniejszą, i uwielbienia, i sarkania, widząc przed sobą bijących czołem tych samych, którzy przed chwilą najstraszliwsze na nią miotali przekleństwa. Tak żyła i wszystko zdawało się długie jeszcze jej istnienie zapowiadać, kiedy nagle nieubłagana śmierć wydarła ją przedwcześnie z łona czcicielek i wielbicieli, pozbawiając świat mody jednej z najokazywalszych jego ozdób. A stało się to w Paryżu, dnia 1go miesiąca listopada r. b. w Compiègne, podczas pobytu tamże cesarza Napoleona i żony jego, cesarzowej Eugenii. Mówimy tu, jak się tego zapewne czytelnicy już domyślili, o *krynolinie!*

## KRONIKA LITERATURY BIEŻĄCEJ.

„Tygodnik Ilustrowany“ z natury swojej ważne i piękne ma zadanie, obznajmiania swych czytelników ze wszystkimi objawami umysłowego życia w naszym kraju: jest on niejako zwierciadłem, w którym odbijać się winno każde poruszenie inteligencji narodu, ogniskiem, w którym skupiać się powinny wszystkie jego dążenia. Wierni tej głównej zasadzie naszej publikacji, osądziwszy rzeczą właściwą i przyzwoitą, w sprawozdaniach miesięcznych, a w miarę potrzeby nawet i częściej, podawać publiczności przelotne szkice wszystkich w języku ojczystym, tu czy gdziekolwiek, wydawanych utworów literackich, wspierając takowe sprawozdania pobieżnym i krótkim, ale dlatego niemniej sumiennym sądem krytycznym, któryby posłużyć mógł za wskazówkę przy wyborze tych dzieł, już to do nauki, już to do rozrywki przeznaczonych. W miarę wyczerpania się dawniejszych w tym rodzaju zasobów z drugiego półrocza roku bieżącego, lub też stosownie do ważności jeszcze wcześniejszych, zwłaszcza za granicami kraju wydanych, które do nas po jakimś dopiero czasie dochodzą, będziemy się starali sprawozdania te uczynić prawdziwie miesięcznymi; z początku liczymy na pobłażanie, ba nawet na uznanie czytelników, jeżeli w „Kronice“ naszej cofać się niekiedy będziemy w bliższą przeszłość, zawsze atoli na to pomni, że obszerniejsze tak o tych, jak i o bieżących wydawnictwach rozbiory należą do rubryki „Przeglądów piśmienniczych“, które niezawisłe od naszych sprawozdań właściwe sobie w „Tygodniku“ mieć będą pomieszczenie.

*Album Szczawnickie, czyli nabrzeża Górnego Dunajca, w dwudziestu czterech widokach, rysowane z natury przez Józefa Szalaya. Kraków, czcionkami drukarni „Czasu“. 1858.*

Mamy przed sobą zeszyty I—IV tej pięknej publikacji, z których każdy obejmuje po cztery ryciny kolorowane, w wielkim formacie *in folio*, a jakkolwiek ze względu na treść jej, przeważnie artystyczną, wchodzi właściwie w zakres sprawozdawcy sztuk pięknych, nie możemy się przecież powstrzymać od tymczasowego zwrócenia na nią uwagi naszych czytelników. O rysunkach, wykonanych przez samego wydawcę, p. J. Szalaya, a litografowanych częścią w Instytucie artystycznym Reiffensteina i Röscha w Wiedniu, częścią u Loeillot'a w Berlinie, tyle tylko powiemy, że zdaniem naszym powinny stanowić epokę w naszej literaturze albumowej. Bo i sama natura tych okolic, jakże się wybornie do lekkiego szkicowania nadaje! Jeżeli byśmy jeden chcieli uczynić rysownikowi zarzut, to chyba ten, że w widokach jego zanadto znać manierę angielską, rozplywającą się, — kiedy właśnie ta nasza północna przyroda nad innymi celuje tak energicznie wydatnym konturem. Do każdego zeszytu, obejmującego po cztery ryciny (całość będzie skończona w 6 zeszytach), dołączony jest półarkusz lub arkusz tekstu, niezły tam, gdzie ogranicza się na historycznym i topograficznym opisie miejscowości, słaby, gdzie autor chciałby zająć czytelnika jakąś powiastkową lekkością. W każdym razie jesteśmy pewni, że publiczność, gdyby tylko zawczasu i w sposób właściwy zwrócono jej uwagę na to śliczne wydawnictwo, byłaby je przyjęła z całą sympatją, na jaką zasługuje: teraz, nie bez powodu może, obawiamy się, czy zbyt szczupły udział tej publiczności nie wpłynął na opóźnione dotąd od przeszło już roku wydanie dwóch ostatnich zeszytów. Cena całego dzieła 6 rsr. 75 kop.

*P. J. Béranger: Piosenki, przekład Władysława Syrokomli i Wincentego Korotyńskiego. Z portretem i życiorysem autora. Wilno; nakładem A. Assa. 1859*

Rzadko może narodu, któryby się tak wyczerpująco uosobił w poecie, — rzadko poety, któryby tak dokładnie wyobrażał swój naród, jak Francuzi i Béranger. Chcąc studyować historią Francji w ostatnich 50ciu latach, trudno podobno obejść się bez Bérangera, może bardziej jeszcze, aniżeli dla zbadania pierwszej rewolucji socjalnej potrzeba zgłębić *Emila* Jana Jakuba i niektóre *Romanse filozoficzne* Woltera. Béranger płacze wraz ze swą ojczyzną, z nią się śmieje, płacząc okrywa się zasłoną śmiechności, ale zawsze śpiewa i zawsze też przez nią jest śpiewanym. Nic prostszego nad to, że takiego poetę tłumaczyć niełatwo, że poczęści nawet w cudzemu narzeczu tru-

dniejby go nieraz zrozumieć, niż we własnym. PP. Wład. Syrokomla i Winc. Korotyński nie zrazili się taką trudnością, i w leżącym obecnie przed nami tomiku ogłosili blisko 80 przełożonych z francuzkiego dłuższych i krótszych poezjek Bérangera. Przekłady te dokonane są ze szczęściem bardzo rozmaitem, a jakkolwiek te z pomiędzy nich, które są pióra Syrokomli, oczywiście odznaczają się i większą wprawą wierszową, i potocznością języka, a nawet częstokroć zręcznie zbliżonymi do oryginału zwrotami, — przecież, kto zna ten oryginał, chyba raz jeden tylko, naturalną wiedziony ciekawością, zajrzeć zechce do tłumaczenia polskiego.

*Szlachectwo duszy; komedia wierszem w trzech aktach, przez Jana Chęcińskiego. Warszawa; nakł. G. Gebethnera. 1859.*

Jeżeli tu wspominamy o tym utworze, znanym już bez wątpienia całej niemal czytającej Warszawie, zwykle uczęszczającej również do teatru, czynimy to raz dlatego, że po żywym wrażeniu, którego doznajemy ze sceny, dopiero spokojniejszy namysł, jakiego dopuszcza czytanie książki, toruje drogę bezstronniejszemu sądowi, — powtóre zaś, że z zamiejskich czytelników naszego Tygodnika, niejedyn z przyjemnością może powita wzmiankę o sztuce, z którą go wprowadzie inne pisma w pierwszej zaraz chwili już obeznały, lecz która dziś dopiero, gdy już bezpośrednio wrażenie minęło, wchodzi zaczyna w obręb trwałej i poważniejszej literatury dramatycznej. Otóż powiemy, że pomimo kilku ważnych usterków w układzie, pomimo jednej niezmierniej wady w przesadzonej charakterystyce, zwłaszcza baronowej, pomimo niektórych przewlekłości w dyalogach, wstrzymujących regularny postęp i rozwój akcji, *Szlachectwo duszy* jedyną jest może komedią wróżby, jaką w ostatnich kilkunastu latach zdarzyło się nam przeczytać lub zobaczyć na scenie. Nazywamy tę sztukę komedią wróżby, tak samo jak p. Chęcińskiego nazwiemy autorem przyszłości; jesteśmy bowiem najsilniej przekonani, że wraz z nim nowa weszła gwiazda na naszym horyzoncie dramatycznym, i że wcześniej czy później ziścić się muszą nadzieje, do których tak świetny debiut nas w pełni upoważnia. Pan Chęciński ma imaginacją, dowcip, zmysł wynalazczy, tém sympatyczniejszy, że nie wykraczający za granice prostoty, — włada językiem i wierszem, a nade wszystko celuje instynktem spostrzegawczym: brak mu tylko dwóch niezbędnych warunków, za dopełnieniem których spodziewamy się po nim coraz to nowszych i bogatszych ozdób naszej literatury, brak mu po części znajomości tego świata, który maluje, brak dostatecznego odczytania w wielkich wzorach przeszłości. Jesteśmy pewni, że tę pobieżną uwagę, pochodzącą z serca najszczerzej życzliwego, p. Chęciński przyjmie również życzliwie, — bo prawdziwy talent nade wszystko objawia się w nieprzecenianiu sił własnych i w uznawaniu tego, czego mu jeszcze do zarodnego w owoc rozkwitu nie dostaje.

## KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

M U Z Y K A

WYKONANA NA CZEŚĆ SZYLLERA,

dnia 10 b. m. w salach ređutowych.

Dziwnie wielki i piękny ma przywilej muzyka! Czy sięgniemy wzrokiem w zamierzchłe czasy starożytności, czy epoce średnich wieków przypatrywać się zechcemy, muzyka, pomimo swjej prostoty, swego ubóstwa nawet, służyła zawsze ludziom w ich najważniejszych uroczystościach smutku lub radości, za ozdobę, za ogniwo łączące i pochłaniające w siebie, pieśnią albo dźwiękami instrumentów, ich duchowe uczucia. Dzisiaj, spotęgowana genialnymi wysileniami znakomitych z ostatnich wieków jej mistrzów, wzniesiona do godności najczystszej i najidealniejszej ze sztuk pięknych, nietylko że nie ze swoich dawnych praw względem ludzkości nie straciła, ale owszem, stała się dla niej tysiącrotnie jeszcze potrzebniejszą, bo we wszystkich duchowych objawach, od kolębki aż do grobu, poza grobem jeszcze nawet, piastuje, towarzyszy i opiekuje się człowiekiem. Żadna uroczystość ludowa lub narodowa bez współdziałania muzyki

jak dawniej tak i teraz obejść się nie może; a skoro nadarzy się chwila podobna do tej, jaką od jednego do drugiego krańca ziemi dzień 10 listopada nam przedstawił, wówczas ludzkość, ogarnięta jedną myślą, jednym uczuciem, słowem i pieśnią składa hołd uwielbienia iskrze Bożej, objawionej i pałającej geniuszu potęgą w łonie wybranego od Opatrzności człowieka. Stuletnia rocznica narodzin Szyllera, stała się intelektualną arką przymierza pomiędzy wielkimi rodzinami ludzkości; połączyła ona, choć na chwilę, zadawnione ich niechęci jednym bratnim węzłem uczucia; wskazała jak wiek nasz uczynił ogromny postęp w duchowem uznaniu zasług położonych dla szlachejnych i wielkich idei ludzkości... Lecz inne już pióra, i to znakomite, dowiodły jak wielka cześć należy się potężnemu geniuszowi Szyllera, jak wiele także literatura nasza zawdzięcza temu nadzwyczajnemu człowiekowi; więc też gdy nadszedł dzień 10 listopada, nie daliśmy się we współczuciu wyprzedzić nikomu, a wymowne słowo przewodniczącego zdawna w naszym piśmiennictwie mistrza, splecione w jeden wieniec z muzyką na jakąśmy się zdobyli, złożyliśmy chętnie i serdecznie w dani wielkiemu germańskiemu wie-szczowi.

śmiałością pomysłów, całemu temu dziełu nadaje cechę monotoności. Jednakże, pomimo tych niedostatków leżących w gruncie duchowej istoty kompozytora, „Dzwon“ Romberga, pod względem szerokości pomysłów i szlachetności formy, słusznie do rzędu znamienitszych utworów muzycznych jest policzonym.

Głosy solowe żeńskie rozdzielone były pomiędzy panny: Kłodzińską, Hanuszównę i Nochównę, męzkie zaś pomiędzy panów: Troschla, Szczepkowskiego, Wodiczkę i Einerta. Najwięcej oklasków za wykonanie zyskała panna Kłodzińska, bo też udział jej w tém dziele był największy. Miło nam przy tej sposobności oddać sprawiedliwość pięknemu tej amatorki talentowi, którego widocznie ciągle się kształci. Chór, złożony z sześćdziesięciu przeszło osób, dobrze wyuczony, niemało się przyczynił do spotęgowania nie tylko „Dzwonu“ Romberga, ale także wspaniałej a pięknej „Kantaty“, jaką pan Noch umyślnie na setną rocznicę urodzin Szyllera skomponował, wieńcząc jej jako całą uroczystość dnia tego. Utwór ten, z ogniem i niepospolitą siłą pomyślany, z zapalem też, pod przewodnictwem samego kompozytora, dyrygującego całym koncertem, wykonano.

kupili go Lubomirscy, którzy w r. 1616 obok zamku pod témże nazwiskiem założyli miasto. Za życia Stanisława Lubomirskiego, dzielnego hetmana (tego samego co pod Chocimem w roku 1621 po śmierci Chodkiewicza objawszy dowództwo, najstraszliwszą klęskę zadał Turkom), Wiśnicz był znowu siedliskiem ludzi uczonych i miejscem gdzie młodzież szlachecką gościnnie i szczerze podejmowano i utrzymywano. Ten sam Lubomirski na pamiątkę owej chocimskiej bitwy kościół i klasztor oo. karmelitów, dotąd istniejący, zbudował i w nim zacy ten i zasłużony w kraju mąż jest pochowany. Roku 1649 d. 12 czerw. zamek 80 działami opatrzony poddał się Szwedom; ci zabrali zład ryszunek wojenny, łupy na 150 wozach i wbrew kapitulacji zamek zniszczyli. Odbudowany jednak wkrótce, aż do ostatnich czasów był przez rodzinę książąt Lubomirskich zamieszkiwany. Dopiero przed kilkunastą laty przypadkowy ogień o ruinę go przyprawił. Odtąd, zachowawszy część murów, baszt, bastionów, rowów i foss, zachwycał jeszcze pięknym położeniem, ozdobnością pozostałych części i wspomnieniami historycznymi. Jak słyszeliśmy, obecny jego właściciel przystąpił w roku bieżącym do zupełnej restauracji zamku, którą powierzył bardzo trafnie i szczęśliwie p. Teo-



WIŚNICZ.

### WIŚNICZ.

Pamiętna dnia tego uroczystość rozpoczęta u nas została jubileuszową uwerturą Karola Maryi Webera, odegraną przez orkiestrę wielkiego teatru. W wspaniałej tej uwerturze, jak w zwierciadle, odbija się w najdrobniejszych szczegółach szlachetne artystyczne oblicze twórcy „Freischütza i Oberona“; nie tedy dziwnego że jest piękną i porywającą. Ustęp znanego narodowego hymnu Anglików, do którego wykonania przyczynił się także chór amatorów, godnie ją zakończył. Marsz weselny Mendelsohna, przegradzający odczyty w języku niemieckim Dr. Fehta, a w polskim Kraszewskiego, był tylko wstępem do wielkiej kompozycji Andrzeja Romberga, jaką z wzorową dokładnością wszyscy biorący udział w tej muzycznej uroczystości wykonali. „Dzwon“ Szyllera, tę bogatą i pełną siły poezją, Romberg chciał muzyką uplastyczyć; lecz piękne melodie, uczone i głębokie niekiedy opracowanie, szeroki i poważny styl, jakkolwiek są to zalety świadczące o niepoślednich zdolnościach kompozytora, przecie za wszystko wystarczyć nie mogą. Brak siły dramatycznej oziębia ten utwór i staje się powodem że nuży rozwlekłością; koloryt instrumentalny, utrzymany ciągle w jednych, mniej więcej, podobnych do siebie barwach, nie zalecający się żadną nowością ani

Jednym z najpiękniejszych zabytków budownictwa świeckiego jest niezaprzeczenie zamek w Wiśniczu, dziś w Galicyi, w cyrkułe bocheńskim, o milę od Bochni położony. Gmach ten, w czworobok zbudowany, wznosi się na skalistej górze, z dwóch stron prostopadłej. Tu było od wieków gniazdo możnej i znakomitej rodziny Kmitów, z których znany w historii Piotr Kmita, wojewoda krakowski, marszałek wielki koronny, odnowił go i obwarował. Tu w roku 1550 ów burzliwy możnowładca, co stał na czele stronnictwa przeciwnego małżeństwu króla Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną, zmieniawszy nagle swoje zdanie, zaprosił tego monarchę wraz z żoną do Wiśnicza, pogodził się i hojnie na zamku podejmował. Tu się zbierali ludzie uczeni i rozmaici wyznawcy zdań nowatorskich w owych czasach, któremi Kmita opiekował się i rządził dla większego w kraju wpływu. Tu nakoniec życie swoje, pełne przygód i wszelakiej niecnoty, obok dziwnie zkadynąd wspaniałych przymiotów, dumny ten magnat zakończył, będąc ostatnim z tego rodu potomkiem. Po nim zamek wiśnicki przeszedł do rodziny Barzich, najbliższych jego krewnych, od nich zaś

filowi Żebrowskiemu, uczonemu archeologowi i bardzo zdolnemu budowniczemu.

U stóp klasztoru i zamku, koło wieży ratusznej i parafialnego kościoła, grupuje się miasteczko, którego wszystkie prawie domy drewniane, przedstawiają ciekawe pod względem architektury kształty. Zabytki te dostarczają studyów nad drewnianym budownictwem, prawie od XVI wieku, aż po nasze czasy. Na trójkątnej facyacie kolumnada wspierająca ganeczek; uszczytu w ozdobnych umieszczony rzeźbach dach gotycki, jakby w skrzydła w kilkoro zgięć złamany, stanowią główny typ tych budowli. Wszystko się tu dochowało szczególnie cało, chociaż w pustkowiach, Zresztą miasto niczem innym się nie odznacza.

### KAPLICA W ROGALINIE.

Rogalin, miejsce urodzenia Krzysztofa Arciszewskiego, sławnego z przygód życia generała artylerji polskiej w XVII wieku, którego wizerunek i życiorys daliśmy w Nrze 3 „Tygodnika“, położony o dwie mile od Poznania, należy do żyjących dziś sukcesorów Edwar-da Raczyńskiego. Do miejsc, w których Raczyński

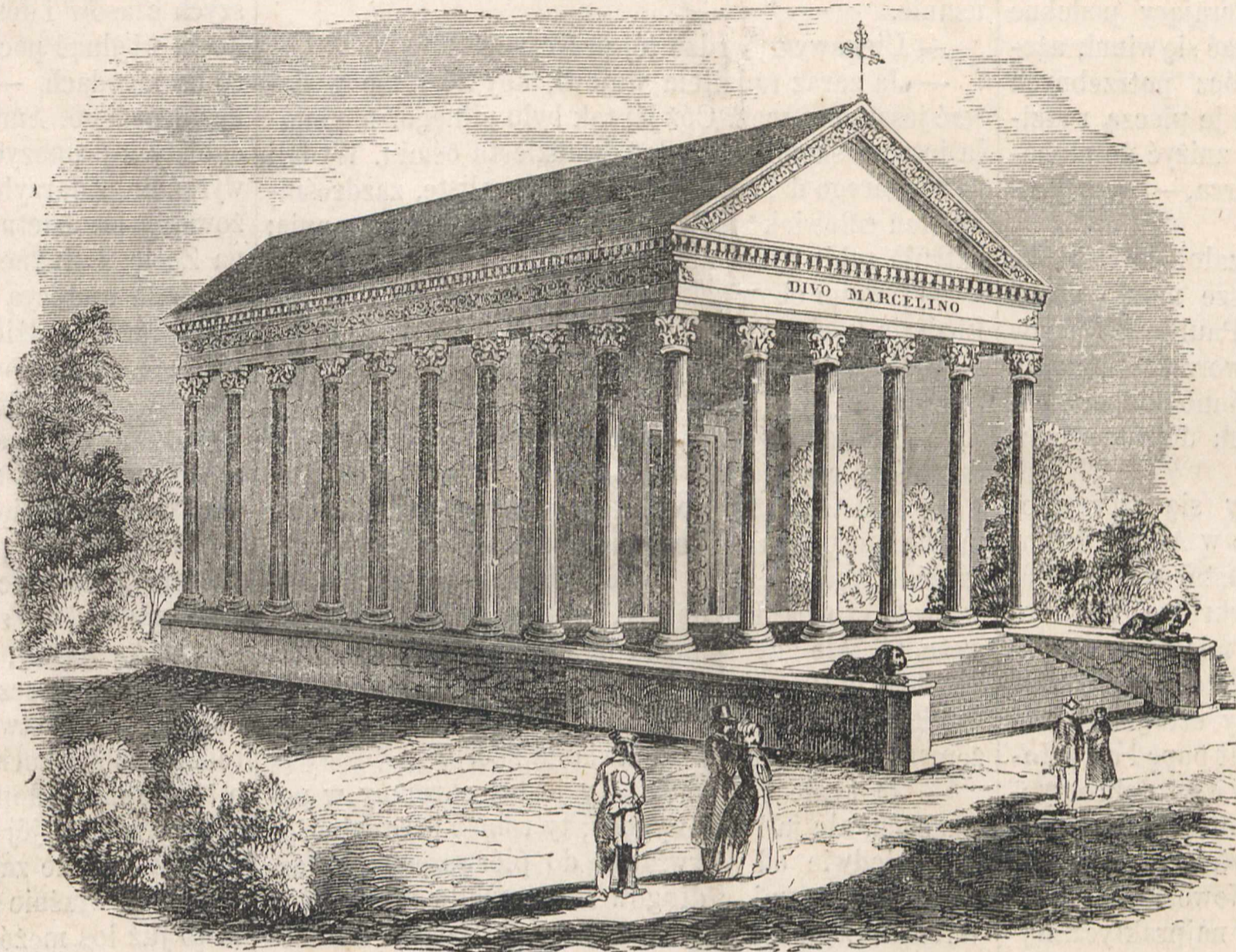
pozostawił pamiątkę swój wszechstronnej działalności, liczy się i Rogalin, przyozdobiony wzniesioną przezeń kaplicą, której tu rysunek załączamy.

Kaplica w Rogalinie tak pod względem prostoty jak i powagi stylu, godną jest pilniejszej uwagi każdego podróżnego. Budowlę tę, przekonywającą o wielostronnem ukształceniu i wyszukany smaku architektonicznym ś.p. Edwarda, otacza w około rząd kolumn, po dziesięć z każdego boku i sześć przy głównem wejściu. Po kilkunastu kamiennych stopniach wchodzi się do obszernego perystylu, obok zaś wschodów, na kamiennych ławach umieszczono dwa lwy leżące. Kaplica ta przypomina kształtem swym sławną świątynię w Nismes, piękny zabytek budownictwa rzymskiego. Raczyński, jako miłośnik sztuki, wytworzył smak swój zaprawił na klasycznych arcydziełach włoskich, i z nich, jak to łatwo poznać, uniósł pierwotny plan kaplicy w Rogalinie. Jakkolwiek więc w budowlu tej niepodobna niedojrzeć piękności architektonicznych, w ogóle jednak nie cechuje jej ów smak i charakter późniejszych czasów, jakim w chrześcijaństwie szczytą się domy poświęcone czci Bożej. Kaplica rogalińska, mimo wielkich zalet sztuki, na pierwsze wejrzenie wygląda raczej na jakąś świątynię starożytną, a budowniczemu zarzucić można, że w wykonaniu nie zwrócił uwagi na zgodność charakteru budowli z religijnem jej przeznaczeniem. Pomimo to kaplicę roga-

go, zasługuje także na wspomnienie, z powodu że znajdowała się w nim znamienita zbrojownia, przystępna niegdyś dla publiczności, lecz w r. 1848 częściowo rozebrana. Tu także znajduje się nietyłe uderzająca liczbą, ile doborem i rzadkością, zbiór rękopi-

rodzicielskiej, pędzą smutno najpiękniejsze chwile młodocianego wieku. Zamknięte w zimie w ciasnych, chłodnych i wilgotnych pomieszkaniach, wędzną te biedne kwiatki; jałowa i zimna strawa nie rozgrzeje ziębniętych członków, troskliwa ręka matki nie otuli drżącego ciała; wyglądając przez zamarznęte szyby okienka, z płaczem wołają matki, ale ona ich nie usłyszy, bo gdzieś daleko w krwawym pocie pracuje na kawał suchego chleba, którym je za powrotem nakarmi. W lecie przepędzają całe dni na ulicy, na próżniactwie i swawoli, i jeżeli nie ulegną kalectwu fizycznemu, to towarzystwo ze starszemi, zepsutemi dziećmi, widok gorszących scen szynkowych, wyuzdane kłótnie zepsutych ludzi, zawczasu skalają młodociane umysły, i najczęściej z owych samopas biegających dzieci, wyrastają, jeżeli nie zbrodniarze, to próżniacy, będący ciężarem sobie i społeczeństwu.

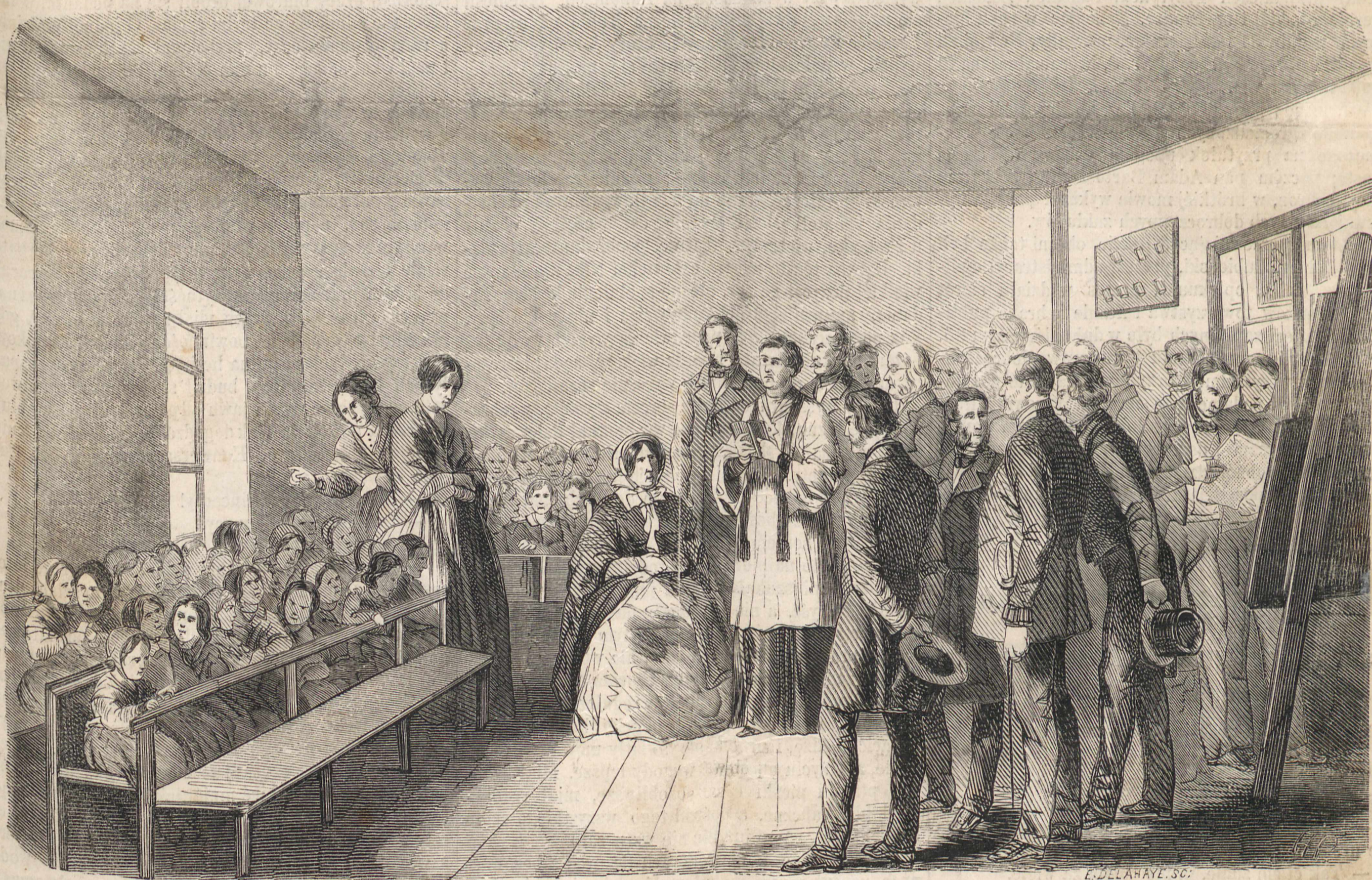
Patrząc na te wybladłe, cierpieniem i nędzą nacechowane twarzyczki, boleść i litość uciska serce. Stokroć więcej uczuwają ich niedolę ci, których Bóg dziećmi obdarzył, na samo przypuszczenie, żeby ich dzieci tak nieszczęsnemu losowi uległy. Nie dziw więc iż oddawna przemyślano jakby fizycznemu i moralnemu kalectwu tych młodych istot zapobiedz, jakby zastąpić im starania i pieczę rodzicielską, jakby ich na ludzi pożytecznych Bogu, krajowi, bliźnim i sobie samym pokierować.



KAPLICA W ROGALINIE.

sów, odnoszących się do historii polskiej, między którymi były sławne *Acta Tomiciana*, których część posiada Tytus hr. Działyński, i dziś ogłasza je drukiem; oraz liczne i ważne rękopisy po Ciświckich pozostałe.

nemu kalectwu tych młodych istot zapobiedz, jakby zastąpić im starania i pieczę rodzicielską, jakby ich na ludzi pożytecznych Bogu, krajowi, bliźnim i sobie samym pokierować.



OTWORZENIE W WARSZAWIE OCHRONY Nr 8. DNIA 31 PAŹDZIERNIKA 1859 ROKU.

lińską, jako dzieło sztuki, liczyć należy między najcenniejsze pomniki polskie. Na frontonie czytamy napis DIVO MARCELINO, imię patrona, pod którego wezwaniem kaplica ta została wzniesiona.

Zamek rogaliński, tak ulubiony przez Raczyńskie-

#### OCHRONY WARSZAWSKIE.

W czasie kiedy ubodzy wyrobnicy po całych dniach za domem pracować muszą na wyżywienie swój rodziny, biedne ich dzieci, pozbawione tkliwej opieki

Szcześliwa myśl utworzenia ochron, rozwiązując to zadanie, chlubę przyniosła naszemu wiekowi.

Tam się zgromadzają dzieci, pod okiem przewodników doświadczonych, znających dobrze ich naturę dzielących ich igraszki i zatrudnienia, a umiających

wśród zabaw nawet udzielać pożytecznych wiadomości. Tam rozwijają się powoli i stopniowo młodociane umysły, nabierają ochoty do nauki i pracy, i dzieci, opuszczając ochronę, sposobne są do poświęcenia się obranemu zawodowi życia.

W ochronach wszystko zależy na przewodnikach; dlatego też dobroczynni ludzie, otwierający podobne zakłady, o to przedewszystkiém starać się winni, ażeby nauczyciele i nauczycielki, oprócz potrzebnych wiadomości, kochali dziatki, otoczyli je pieczą rodzicielską, znali ich naturę, umieli się zniżyć do słabego pojęcia, a łagodnością zyskać serca,—inaczej cel zupełnie chybionym zostanie.

Najpierwszą ochronę w Europie założyła kobieta, bo też tylko serce kobiety najpierwsze mogło uczuć nędzę opuszczonych dzieci. Imię Pauliny Krystyny księżniczki Lippe-Detmold, która otworzyła pierwszą ochronę w Niemczech w r. 1802, powinno jaśnić w potomności, obok imion największych dobroczyńców ludzkości.

Wnet za tym przykładem poczęły się szerzyć ochrony po Europie: zaprowadzono je w Anglii, Francji i Niemczech. I nasz kraj nie pozostał w tyle. Powstały ochrona w Warszawie, a wkrótce Kraków, Lwów, Poznań i wiele innych miast, miasteczek a nawet wsi, urządziły u siebie te arcy-pożyteczne zakłady.

Ś. p. Teofil Janikowski, zasłużony członek towarzystwa dobroczynności, pierwszy dał popęd do założenia ochrony w Warszawie. Towarzystwo dobroczynności gorliwie zajęło się urzeczywistnieniem tego projektu i uprosiło p. Teofila Nowosielskiego, ażeby jego kierunek wziął na siebie. Pan Nowosielski, zwiędziwszy zagraniczne miasta, znalazł najpraktyczniejszą ochronę pod względem prowadzenia dzieci w Pradze czeskiej, pod kierunkiem Jana Swobody (1) i na wzór téjże urządził pierwszą warszawską, którą otwarto w dniu 3 sierpnia 1839 r. Niedługo potem powstały inne, mianowicie: ochrona dla chłopców na Nowym-Świecie, obok gmachu najwyższej izby obrachunkowej; Żłobek przy drodze Jerozolimskiej, ochrony przy ulicach Przyrynek, Pańskiej, Żelaznej, Czerniakowskiej i na Pradze. Nakoniec w roku bieżącym, w dniu 31 października, przy ulicy Nowolipki nastąpiło otwarcie ochrony Nr. 8, które załączona tu rycina przedstawia.

WJ. ksiądz kanonik Czajewicz, po stosownej przemowie do zgromadzonych, poświęcił mieszkanie przeznaczone na przytułek ubogich dzieci téj części miasta; poczem pan Adam Bartoszewicz, naczelnik sekcji ochron, w krótkiej mowie wykazał korzyści wypływające z tych dobroczynnych zakładów.

Na tym rozrzucającym akcie obecni także byli JW. Piotr hr. Łubieński, prezes administracji ogólnej tow. dobr., opiekunki, prezes wydziału sierot wielu członków towarzystwa i licznie zebrana publiczność. Dzieci zapisanych było w dniu pierwszym 35.

Cześć gorliwemu staraniu towarzystwa dobroczynności i tym wszystkim, którzy pomnażając te pożyteczne zakłady i podając rękę sierotom, krzewią miłość chrześcijańską. Cześć szczególnie opiekunom i opiekunkom, dozorcóm i dozorczyńcom, co życie swe poświęcają téj drobnej dziatwie, idąc w ślad za Zbawicielem, który także dziatki z miłością gromadził około siebie.

## NOWY KASTOR I POLLUKS,

albo

### HISTORIA O DWÓCH ZASUSZONYCH KAWALERACH NA WARSZAWSKIM BRUKU.

(Opowiadanie Cześnikiewicza.)

(Ciąg dalszy.)

#### III.

— Zdaje mi się że bez jedzenia zbytecznego tusza nie urośnie, mój kochany.

— Tak ci się zdaje, ja nie jadam za wiele.

— Dlaczegoż ja nie utyję?

— Bo nie masz do tego usposobienia, jesteś suchym z natury.

(1) Jan Swoboda wydał dzieło w języku czeskim, które p. Teofil Nowosielski przełożył na polski p. t.: *Wykład praktyczny prowadzenia dzieci małych w Ochronie*, Warszawa 1840.

— Usłuchaj mię, zmniejsz porcy, chodź piechotą, a z pewnością schudniesz, do miary przyzwotéj doprowadzając tuszę.

— Jakże się miewa twoja Beatrycza?

— Niedobrze. Najmniejszą u niéj rzeczą jest choro- ba, ważniejszą przyczyna sama, której nikt nie usunie.

— Ciekawym bardzo téj przyczyny.

— Ja zaraz radziłem wujowi, aby Zosi nie wydać jeszcze za mąż. Cóż jéj tak było pilnego? nie miała jeszcze skończonych lat dwudziestu ośmiu. Wydali ją za starego dziada, tetryka, materyalistę, zazdrośnika, ten człowiek znudził ją do najwyższego stopnia; zatrąła sobie życie nieboga.

— Twoim obowiązkiem uprzyjemniać jéj to życie, kiedy ją kochasz.

— Ja ją czczę jak bóstwo, dlatego mogę tylko współczuć jéj niedole.

— Dlaczego ty z nią nie ożeniłeś się, kiedy wiedziałeś że cię kocha?

— Dla tego samego powodu, który i dzisiaj żenić mi się nie pozwala. Po ośmnastu latach służby mam sześć tysięcy pensyi. Dopóki mieszkamy we dwóch, wszystko to bardzo dobrze, wystarcza na chleb powszedni. Ale gdy samemu opłacać przyjdzie komorne, dom utrzymać, ubrać siebie i żonę, przyjdzie bięda, której siekierą nie utnie. Dlaczegoż ty się nie żenisz, kiedyś tak do namawiania skory?

— Ja wcale co innego. Ty jesteś skromny w potrzebach, ale ja lubię wygody; ty robisz oszczędności, a ja zaledwie od pierwszego do pierwszego wystarczam funduszami, a długów i rachunków nienawidzę. Wreszcie zanadto utylłem, tańczyć już prawie nie mogę, a te kobiety nie rozumieją poważnego konkurenta. Nareszcie tak mi zupełnie dobrze, po co brać ciężar na siebie?

Cholewita i Perła znacznie pofigurowali. Lubo zmiana dyrektora skarbu inne zdolności pociągnęła w górę, pamiętał jednak o sobie Perelka, zdobywszy posadę dającą powagę i chleba dostatek. Sześć lat wysiedziawszy w poddaszu na Kanoniach, przenieśli się najpierw dwaj przyjaciele na drugie piętro przy Lesznie. Po trzecim awansie, który jakoś obudwóm wypadł współcześnie, usadowili się na Senatorskiej ulicy w ładnym lokalu. Przedpokój, salon, dwa pokoje na sypialnie, lokaj stały, meble eleganckie, fraszki rozliczne i wygodki, wszystko to jakoś przyszło z wolna. Z garkuchni Starego miasta, przenieśli się najpierw do Poziomkiewiczowej; później robiło się wycieczki z interesantami do handlów winnych na śniadania i butelkę, zaczęły się coraz częściej obiady u Francuza, wieczory w teatrze, poobiednie przejażdżki. Dziwna też to natura człowieka! Nikt nie planuje wielkiej pozycyi na raz, ale po spełnieniu każdego żądania, awansuje projektami wciąż i nigdy nie syty. Raz pozwoiliwszy sobie poprawienia wygod, wciąż już potem mięknie natura i coraz większej żądajęszczyoty, aż egoizm do bajecznych wyrośnie rozmiarów.

Ignacy wyszedł na świat z sercem czystym, wyobraźnią poetyczną, kochania cheiwy; spotkał dziewczynę, którą ukochał, zyskał wzajemność, ale nigdy nie mógł dobiegnąć mety, u której dałoby się już uregulować potrzeby i powiedzieć sobie: mam dosyć chleba, mogę wziąć na siebie obowiązki święte, być mężem i ojcem, począć życie sercem. Bez związków rodzinnych uszło serce, ostygło najpierw dla rodziny własnej; potem i w przyjaźni szukało takich jeno związków, które dawały korzyść, a nie wymagały poświęcenia i ofiary. I dobrze, regularnie, było mu na tym świecie. Z początku praca zabierała dni całe, ale wtedy zyskiwało i serce, zaglądając do cudzych chociaż ognisk rodzinnych. Powoli, gdy rosła pensya regularna, pozbywał się pracy za biurem, począł obficie karmić umysł, bogacić wiedzę, i urobił się światły umysł na to jedynie, aby życiu obmyślić wygody lepsze. Miał kwiatki, ptaki i pieski coraz osobliwsze, miał rzadkości bibliograficzne, a pośród tego wszystkiego schło biędne serce, aż go już nic nie wzruszało.

Wincenty, po konkurencyach licznych a bezowocnych, zepsuł serce spekulowaniem, a nie mając lepszego celu życia, jadł, pił i utyl, jak perła okrągłuteńko. I było mu wygodnie na tym świecie. Czy kochał kiedy? podobno że nigdy w życiu.

A biędna Zosia, poznaawszy kuzynka ładnego, dobrego, pracowitego, słysząc o nim pochwały same, a widując spojrzenia tkliwe, namiętne,—oddała się całą marzeniu o szczęściu w jego towarzystwie, dzieląc

z nim w myśli dołę i niedole, pokochała go pierwszą, najtkliwszą miłością, która dopiero z życiem gaśnie. A że jest prawdziwą i czystą, dlatego miłość taka milczy. Zosia czekała długo, bardzo długo; była piękną, miała wielbicieli, odsuwała wszystkie dobre partye dla Ignacego, który znowu kochał i czekał lepszych czasów i dostatniejszego chleba. Dopiero gdy Zosia wędnać poczęła, gasł ogień w oczach, rumieńce na jagodach, — zlekła się matka tego stanu niebezpiecznego. Ambicya nie pozwalała odezwać się do egoisty z propozycjami, ani też pozbywać go z domu wyraźnie. Zdarzyło się jakoś, że owdowił kolega mężowski, bezdzietny, bogaty, a który słodko patrzył na Zosię. Usłużne kumoski pomogły swatami, matka obudziła ambicyą w dziewczynie, uwodząc ją lat tyle prózną nadzieją. Wszystkim powiodło się w zachodach. Zosia poszła za mąż, robiąc partyę do pozazdroszczenia dla mnóstwa panien. Ignacy, patrząc na to, wdychał, smutniał, ale jakoś wyperswadował sobie materyalne szczęście, a pozostawił w duszy postać Zosi ubóstwionéj.

„Nie mogę jéj posiadać w małżeństwie, a więc będzie moją Beatryczą.“ I kochał ją marzeniem. A mąż Zosi, posiadłszy skarb wielki, owo serce przesliczne, duszyczkę jasną, uznał że mu bardzo wygodnie. O nią nie troszczył się wiele; wprowadził do domu liczne towarzystwo, zaprosił i kuzynka marzyciela: radźże sobie, kochana żono, jak zechcesz, bylebym ja o to nie miał kłopotu. Materyalista najgrubszy, musiał zbrzydnąć jéj niedługo. Gdy Zosia smutniała, on posadzał ją że zakochana. Ale szukając przedmiotu jéj uczuć, właśnie dojrzyć go nie mógł prawdziwie; taki to już los mężów zazdrosnych. Zosia cierpiąc milczała; jéj smutek budził gniew, nareszcie wściekłość mężowską. Począł być brutalem, pześladowcą biędnego anioła czystości; a Zosia schła powoli, jak kwiatek oderwany od łodygi; ale co chwila bleśsze były jéj lica, smutniało oko, ła je tylko szklila, a usta schły na węgiel.

Systematyczny od dzieciństwa, Ignacy w kilkanaścieletniej pracy biurowej urobił się na pedanta, w niczem nie odmieniając trybu życia. O jednej godzinie z rana otwierał oczy, przeciągał się spazmatycznie i pogłaskał śpiącego z nim pieska. Potem dzwonił na służącego, który stawiający się punktualnie, zdawał sprawę ze wszystkich wypadków zdarzonych na ulicy i w domu zajmowanym. Po téj relacji następowało ubieranie się ranne. Czyżki krzyczały na ten widok niecierpliwie, piesek przeciągał się i ziewał. Ignacy zawiązywał z niemi konwersacją czułą, zasypując ptakom ziarno, a pieskowi obiecując śniadanie. Samowar szyćć poczynął w salonie. Zaparzywszy herbatę wedle obowiązującego dyżuru tygodniowego, wracał do biurka przecierać starożytności pompejańskie i nowoczesne fraszki, których miał zawsze pełno. A gdy już odbył tę codzienną powinność, wchodził do pokoju towarzysza, budząc go na herbatę. Wincenty był ospały, jak każdy tłusćcioch, budził się jednak zawsze wesoło, zaczynając troski jawu od pomyślenia jaka w biurze czeka go robota i jak dogadzać będzie podniebieniu w ciągu dnia całego. Konwersacya poranna zawsze była ta sama:

— Dzień dobry p. Wincenty!

— Dzień dobry p. Ignacy!

— Jakże się spało?

— Dosyć dobrze. Wystaw sobie, że i we śnie interesanci spać mi nie dadzą. Pamiętasz tego szlachcica, który tu był onegdaj? Sprawa nieczysta; postawił mosty na trakcie rządowym, wedle anszlagu powiatowego inżyniera, z wolnej ręki, na poczet rat dzierżawnych. Powiatowy i gubernialny inżynierowie odebrali robotę. Zanim wyszła assygnacya ze skarbu do kassy powiatu, przychodzi powódź, zrywa groble, targa mosty, wrywa pale i po łęgu nadrzecznym roznosi. Inżynier powiatowy zjeżdża na śledztwo: okazuje się że pale były wbite o łokieć mniej jak każe anszlag. Ztąd kwestya o mosty same, że były za słabe i dlatego poszły z wodą. Inżynier upiera się przy swoim. Dzierżawca dowodzi że dawniej do przepuszczenia wody było na grobli mostów sześć; inżynier trzy skasował, a trzy zaprojektował nieco szersze. Gdy więc przyszła powódź nadzwyczajna, grobla została w kilku miejscach zerwaną, a mosty zniszczone koniecznie. Każdy ma racya. Tymczasem naczelnik powiatu praży dzierżawcę niezamożnego egzekucjami o ratę czerwcową, sekwestracya zarządzona, szlachcic z żoną i dziećmi runie, albo inżyniera z żoną i dziećmi tranzloko-

## ROZMAITOŚCI.

wać wypada. Co tu robić? Szlachcic skamle, płacze, sprawa w moim referacie, a sumienie przedewszystkiem! Co radzisz?

— Niech będzie i wilk syty, i owca cała. Inżynierowi dać nosa, uznać nadzwyczajność powodzi, szlachcicowi assygnować pieniądze. Mosty były odebrane i przyjęte...

— Ale kiedy pale okazały się krótszemi.

— Grunt był za twardy, nie chciały iść głębiej w ziemię.

— Pale były nieokute w ostrzu, tak je znalezione...

— Czemu inżynier nie pilnował roboty? Stało się, zato dać podwójnego nosa.

— Bo zapewne, szkoda szlachcica; zmarniałby przez sekwestrację. Przedstawię na dzisiejszą sessję, trzeba wcześniej iść do biura.

— Mam i ja o czém myśleć, a także sumienie lęka się decydować.

— Co takiego? moje kochanie.

— Kassyer powiatowy, napadnięty z nienacka, przy rewizji kassy złapany został na deficycie złp. 3,743 gr. 22 i pół.

— Horrendum! dać dymissją!

— Ale w kassie, na wypadek deficytu, znalezione deponowane pugilares, w którym listami zastawnymi trzydzieści tysięcy i napis: „Odpowiedzialność kassiera na przypadek deficytu“.

— To jest bezprawie!

— Zwłaszcza że śledztwo zarządzane przezemnie, a dokonane z ręczni, wykazało, jako pan kassyer zdawna trzyma się za ręce z kontrolerem. Przetrzywiają gotowiznę w kassie powiatu, obracając kapitałami dawaniem na ogromną lichwę żydostwu miejscowemu. Dowiedzione śledztwem!

— Nie wahać się ani chwili z dymissją.

— Człowiek dotąd nieposzlakowany, ma własny majątek i dowodzi że prywatnymi funduszami obracał.

— Ale podłością jest lichwa! Urzędnik powinien być wzorem prawości; to hańbi urzędnika charakter. Wypędzić lichwiarza ze służby!

— Stało się, kiedy tak radzisz.

— Jakże się miewa Beatrycza twoja?

— Dogorywa biédactwo.

Ignacy westchnął głęboko, a zadumawszy się chwilę, dodał:

— Nie wspominaj mi o niej przed jedzeniem, bo to psuje apetyt.

— Hej Maciek!

— Słucham jaśnie pana.

— Pantofle, szlafrok!

W jednej chwili Wincenty już na nogach, siada do stołu, pije chciwie herbatę, chłonąc żarłocznie dwa funty szynki surowej, która mu bardzo służy, a nie psuje apetytu.

Po ukończonej herbacie, Ignacy smaruje bułeczkę, nakłada szynkę, zawija w papier na przekąskę biurową, nakłada kanarkowi cukru kawałek świeży, a potem własną ręką, dla agitacji, czyści miotką przygotowane do ubrania suknie, i wychodzi nareszcie do biura.

(Dalszy ciąg nast.)

*Nieustanne podnoszenie się lądów Australii.* Staranne dostrzeżenia, robione przez L. Beckera na pobrzeżach zatoki Hobsonbay, dowiodły, że w przeciągu ubiegłego roku ląd wznosił się tam o 4 cale wyżej jak w roku zeszłym. Przed pięć laty jeszcze laty podstawę masztu portowej bandery obmywało morze w czasie przyplwy; dziś pomiędzy morzem a masztem jest ląd suchy, pokryty budowlami. Technicy kolei południowej z zadziwieniem dostrzegli, iż cała droga żelazna w ciągu roku podniosła się o 5 cali.

Niemniej i inne badania fakt ten potwierdzają. Sławny żeglarz Flinders w r. 1802 zmierzył głębokość morza przy brzegach południowych Nowej Holandii. W roku 1858 nowe pomiary, uskutecznione na rozkaz rządu, wykazały, że w ciągu lat 56 dno morskie podniosło się w tych stronach o 20 stóp. Miasto Melbourne w ciągu lat 20 podniosło się o 7 stóp wyżej, co okazuje dokładnie miara na bulwaru portowym zamieszczona.

Nakoniec pewne wskazówki geologiczne, jakoto: brak niektórych warstw napływowych starego lądu; mnóstwo jezior słonych wewnętrznych, które powstały w skutek wzniesienia się brzegów morskich i odcięcia wód sródlądowych od morza; ogromne stępy pozbawione roślinności, w których piasku znajdują się szczątki skorupiaków, koralu i innych tworów morskich, tak świeże, jak gdyby morze wczoraj ztamtąd ustąpiło, — jawnie okazują, iż ląd Australii utworzył się w czasach późniejszych, i kiedy północna półkula pokryta już była bujną roślinnością, zamieszkała przez mnóstwo zwierząt a może i człowieka, Nowa Holandya i niezliczone archipelagi oceanu południowego stanowiły dno morskie. Ważny ten fakt spowoduje może za kilkanaście wieków utworzenie się ogromnego lądu południowego, który szybko wzrastającej ludności nowych dostarczy siedzib.

*Włókno pokrzywy białej.* Pokolenia arabskie w Algierii zatrudniają się uprawą pokrzywy białej, z której włókien wyrabiają tkaniny szczególnej cienkości i delikatności. Daje ona trzy zbiory, a więc przewyższa w tym względzie lenikopie. Uprawa jej nader łatwa, i jeżeli zachodzi jaka trudność, to tylko w oddzieleniu włókna, które bardzo tęgi klój roślinny pokrywa. W ostatnich atoli czasach technik Tervagne z Lille, wynalazł środek usunięcia tej trudności, i zdaje się że w krótkim czasie uprawa tej rośliny, znaczne przyberze rozmiary.



*Panu D. w Warszawie.* „Pamiętniki świętego szlachcica“ uważamy za niestosowne dla naszego pisma.

*Panu W. P. we Lwowie.* Rozwiązanie Pańskie jest dobre, ale spóźnione.

*Panu R. T. z R. W.* Nadesłany rebus byłby dobry, gdyby nie sprzeczność w zdaniu jakie on wyraża.

*Panu Tr. w Warszawie.* Zadania szachowe otrzymaliśmy. Po bliższym rozpatrzeniu, będą one mogły być umieszczone w „Tygodniku“.

*Panu X. S. w Warszawie.* Karykatury s. p. S. nie odpowiadają dzisiejszym wymaganiom sztuki.

*Panu Aleksandrowi T. w Włodzimierzu.* Artykuł wraz z rysunkiem odebraliśmy i wkrótce zrobimy z niego użytek. O nadsyłanie innych prac w tym rodzaju najserdeczniej prosimy.

*P. P. Edwardowi L. w Dubnie i Antoniemu N. w Warszawie.* Szczupłość działu przeznaczanego w naszym piśmie na poezję, nie pozwala na wydrukowanie nadesłanych wierszy.

*Panu S. S. w Rawskim.* Rebusy Pańskie nie są zadane podług prawideł.

*Panu J. Kr. P. w Warszawie.* Artykuł o Centryfugu z rysunkiem, w późniejszym chyba czasie będzie mógł być zamieszczonym w „Tygodniku“.

DOM MIKOŁAJA KOPERNIKA  
W TORUNIU.

Między zmerchem średniowiecznych, a zarankiem nowożytnych czasów, pojawił się okres XVI stulecia i świetnością swoich geniuszów rozwinął widnokrąg cywilizacji, wytknął nowe drogi dla całych ludów, dobył z ciemnic niewiadomości nowe światy, uwiecznił potęgę człowieka w myśli biegnącej za słońcem, w natchnieniu co ożywiło kamienie i płótna, w oświacie co rozerwała więzy, w jakie ciemnota wieków ludzkość pogrążyła.

Wiek ten uczeni nazwali odrodzeniem świata: Włosi i Polacy przyłożyli się najwięcej do jego sławy.

Nasz bowiem kraj wydał w owym czasie mistrzów Europie i nowych prawodawców gwiazdoznawstwu; podniósł się na wysokość najwyższatańskich ludów; uderzył w liry pieśniami wieszczów; zabłysł zwycięstwem w okrag swych granic i zawołał: *Stój słońce! naprzód ziemio!* A na odgłos ten narody pochyliły głowy, i przyznały nam mądrość. Słowa tenie są cczą deklamacją; dzieje je wypowiedziały. Karty bowiem naszej historii mówią o tak wielkich mężach, że gdyby ci żyli w starodawnym Rzymie, uwieczniono by ich pamięć mnóstwem posągów i obelisków. Nas stać nie było na to; lecz serce, co w niem czyta pamięć, starczy za złociste pomniki. Potęga człowieka i czasu zniszczyć jej nie zdoła; po nici wspomnień obiega całe kraje, i z wieku do wieku przenosi imiona mężów zasłużonych ludzkości!

Do największych z tej liczby należy Polak Mikołaj Kopernik, astronom i genialny twórca dzieła *O obrotach ciał niebieskich*.

Ojciec jego, także Mikołaj, w r. 1459 przybywszy z Krakowa do Torunia, ożenił się w 1464 r. z Barbarą Wejsselrodówną, córką bogatego mieszczanina, która w 9 lat później powiła wielkiego w przyszłości astronoma.

Ojciec go wcześniej odumarkł; biskup tedy warmiński, Łukasz Wejsselrode, rozciągnął nad sierotą opiekę. Do 18go roku życia młody Kopernik pobierał nauki w Toruniu. Odesłany później przez wuję biskupa do Krakowa, słuchał w Jagiellońskiej wszechnicy medycyny i astronomii, którą to ostatnią wykładał sławny Brudzewski, i już naówczas jego umysł począł błyskać światłem przyszłego geniuszu.

Dwa lata przebywszy w akademii, powrócił do rodzinnego miasta Torunia, z kąd w 1495r. wyjechał do Padwy. Tam przez 4 lata uczył się filozofii i medycyny. Mikołaj Passary i Mikołaj Verni, teatyn, byli jego przewodnikami. Po skończeniu kursów, uwię-

można we wszystkich księgarniach, tak w królestwie jak w cesarstwie.

RYTOWNIA I LEJNIA CZCIONEK  
I WSZELKIEGO RODZAJU OZDÓB DRUKARSKICH

Piotra Sachońskiego i Syna

W WARSZAWIE

przy ulicy Leszno Nr. 663/4.

Przez lat dwadzieścia kilka, bez przerwy, pracując w celniejzych lejniach czcionek drukarskich we Francji, wydoskonalilem się w tym fachu najzupełniej; syna zaś mego wykształcilem, pod okiem znanych artystów, na zdolnego rytownika czcionek drukarskich i ozdób. Przybywszy obecnie do Warszawy, założyliśmy rytownię i lejnię liter i zaopatrzyliśmy ją w maszyny, narzędzia i formy (matrices) oryginalne (nie galwaniczne) z najcenniejszych fabryk paryżkich pochodzące, a których to ostatnich ilość do 20,000 sztuk dochodzi.

Puszczając obecnie w bieg nasz zakład, polecamy się względem pp. właścicieli drukarni, mając nadzieję, że przy braku podobnego rodzaju fabryk w kraju, zechcą nas zaszczycać swemi obstalunkami; za akuratne zaś i prędkie ich wykończenie ręcznymy. Nadmieniamy nadto: iż mając stosunki ze zdolniejszymi rytownikami paryżskimi, jesteśmy w możności, w bardzo krótkim czasie, stemple lub formy oryginalne do czcionek, winiet, rycin, ozdób, not i t. p. podług wzorów, których ilość znaczną posiadamy, sprowadzić i takowe za cenę we Francji praktykowaną odlać.

Także przyjmujemy obstalunki z cesarstwa i prowincyi i takowym, za poprzedniem porozumieniem się listownie franco, najsumienniejsz zadosyć uczynić przyrzekamy.



JÓZEFA UNGRA

KALENDARZ WARSZAWSKI

POPULARNO-NAUKOWY

NA ROK 1860.

liczący już 15ty rok istnienia, opuścił prasę i odznacza się doborom artykułów pióra znanych i zasłużonych literatów. Pomijając rzeczy techniczne i gospodarskie, wymieniamy tu następujące ważniejsze przedmioty: Anioł zmartwychwstania, O Sosnowskiego (z drzeworytem). — O wpływie ruchów ziemi na człowieka, p. T. J. Wagnera. — Wystawa Łowicka (z 2ma drzeworytami). — Kilka słów o wpływie obrotu ziemi na jej kształt p. T. J. Wagnera. — Wiadomość historyczna o dawnym zgromadzeniu kupieckim w Warszawie, p. F. M. Sobieszczańskiego. — Jestem sobie pan, wiersz Wael. Szymanowskiego. — Ojców p. Juliana Bartoszcwicza. — Pomyłka, opowiadanie p. J. Ko-

rzeniowskiego. — Opowiadania meteorologiczne. — Pankracy, Serwacy i Bonifacy. p. A. Prażmowskiego. — Potrzeba i sposób sprawdzania dobroci gromochronów, p. S. Przysiańskiego. — Ustęp z podróży odbytej po kraju, p. J. K. Gregorowicza. — O piśmiennictwie ludowym, p. F. H. Lewestama. — Starodawny szlachcic polski, przez K. W. Wójcickiego. — Zamek odrzykoński (z drzeworytem). — Widok Łomży, wspomnienie z początku XIX wieku, przez T. Dziekońskiego. — Inwalidzi rolnictwa p. A. Wieniarskiego. — Słów kilka o kartach do gry, p. L. Grabowskiego. — Historia cenniejszych roślin. — Maruna czerwona, przez J. Aleksandrowicza. — Herbata (z drzeworytem). — O niektórych wodnych roślinach (z drzeworytem) p. Z. Gawareckiego. — Kilka słów o ogniu gregoryjskim, jako przyczynny wynalazku prochu. — Jak przemysł unię ze wszystkiego korzyść stać. — O mechanice praktycznej. — Wiadomość o działaniach Towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskim w 1859 r.

Kalendarz ten jest do nabycia we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi, oraz na stacyach pocztowych, po cenie kop. 45 (złp. 3) za egzemplarz. Wspomnieć tu winniśmy także o nowego rodzaju ulepszeniu, po raz pierwszy wprowadzonym do tego kalendarza: przed kartą tytułową wprawiony est wykaz świąt w małym formaciku odbity i mogący służyć za kalendarzyk pugilaresowy na rok 1860.

NAKLADEM KSIĘGARNI

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w pałacu

JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów,

opuściło prasę dziełko p. t.: „Diagnostyka fizyczna chorób płuc i serca, ze szczególnym względem na auskultację i perkusję“ przez Dra Józefa Konstantego Rose. Cena kop. 60. — Nabyć

czony publicznie, wrócił do kraju, a zostawszy kanonikiem warmińskiej kapituły, udał się powtórnie do Włoch. Na zalecenie Dominika z Ferary, papież Aleksander IV powołał go do Rzymu, na profesora astronomii w uniwersytecie. Niedługo jednak przebywał w tym mieście, bo już w 1503 r. mieszkał w Krakowie, i tu rozpoczął swe dzieło o obrotach ciał niebieskich, które przez 33 lat późniejszego pobytu w Fraunburgu opracowywał i wykończył. Na śmiertelnym dopiero łożu otrzymał od Gizego biskupa chełmskiego drukowany egzemplarz swych długoletnich prac, których ogłoszenie wstrzymywał, obawiając się aby za śmiałość pomysłu nie doznał losu Husa lub Wiklefa.

Nie będziemy tu wyliczać szczegółów życia Kopernika, bo któż ich nie zna dokładnie? Przypatrzmy się raczej relikwiom po nim pozostałym, poznamy miejsce jego urodzenia, kędy długie lata w cichłej przepędził pracy.

Kiedy przyjechał pod toruńską cytadelę, był wieczór. Miasto, oblane bladym światłem księżycy, cichło i usypiało. Tylko czarne mury kościoła i krzyżackich baszt, jak olbrzymy, sterczały ponad domami; tylko Wisła, drżąca pod powiewem wiatru, odzwierciedlała smugę księżycowego światła i odbijała ogniska flisaków; tylko ich piosenki krakowskie płynęły w przestwór po fali wiślanej. Prom dobił brzegu pod starą basztą, która widziała zastępy Krzyżaków, Jagiellów i Wazów.

Z sercem przepelnionym pobiegłem na miasto. Ulice średniowieczne, wąskie i wysokie, z domami i wieżycami dawniej katedry, smutno jakoś poglądały w bezлюдne pustkowie. Patrzyłem po czarnych murach bram i gotyckich przedsieni i oczekiwałem rychło się okaże z za ich podwoi postać Krzyżaka białą, lub skrzydlaty, żelazny husarz. Lecz owe granitowe postacie znikły bezpowrotnie, a ziemia o którą walczyli, kryje ich wspólne popioły.

Długo przebiegałem ulicę Torunia, zanim do-

sięgnąłem rynku, okolonego wieńcem starożytnych gmachów, z czworobocznym ratuszem; żywo mi stała w myśli śmierć burmistrza Röznera i zniewaga Jagielly (\*). Dalej, na podstawie z kamienia, stoi mąż

Tak myśląc, zatrzymałem się przed studnią; na wierzchu jej unosił się globus, a dokoła wybielone, czyste domki niemieckie. „Gdzie jest więc dom Kopernika?” spytałem przechodzącego Niemca. „Oto jest” odrzekł, wskazując na świeżo obieloną kamienicę.

Spojrzałem na rysunek, jak pierwotnie przed odnowieniem wyglądał ten dom: ani śladu podobieństwa z nim dzisiejszy niema. Dawniej jeszcze, w tym stanie jak go rycina nasza przedstawia, należał do jakiegoś mieszczanina, umiającego szanować pamiątkę, który bronił go od ruiny i gorszego nierównie wandalizmu przekształceń. Jeszcze zwiadzający go przedemną podróżni znajdowali te same okna, przez które Kopernik spoglądał na świat, te same nietknięte i cało zachowane komnaty, w których wiekopomne poczynił odkrycia.

A dziś, snadź Niemcy, rozgniewani za wydarcie im narodowości wielkiego człowieka, zemścili się przeobrażeniem domu Kopernika w szynk tytoniu i seldzi; w karczmie pod Kopernikiem gra dziś katarynka, a przy jej melodiach tańczą niemieckie kelnerzy i kucharki. Stokroć lepiej byłoby, ażeby w gruzach legła ta święta pamiątka, ani-

żeli żeby ją tak niegodnie sprofanowano! Jeżeli w tym giełdowym wieku chodziło o wyciągnięcie procentów, to można je było mieć, nałożywszy kontrybucją na zwiadzających, a zachować dla prawników dom Kopernika.

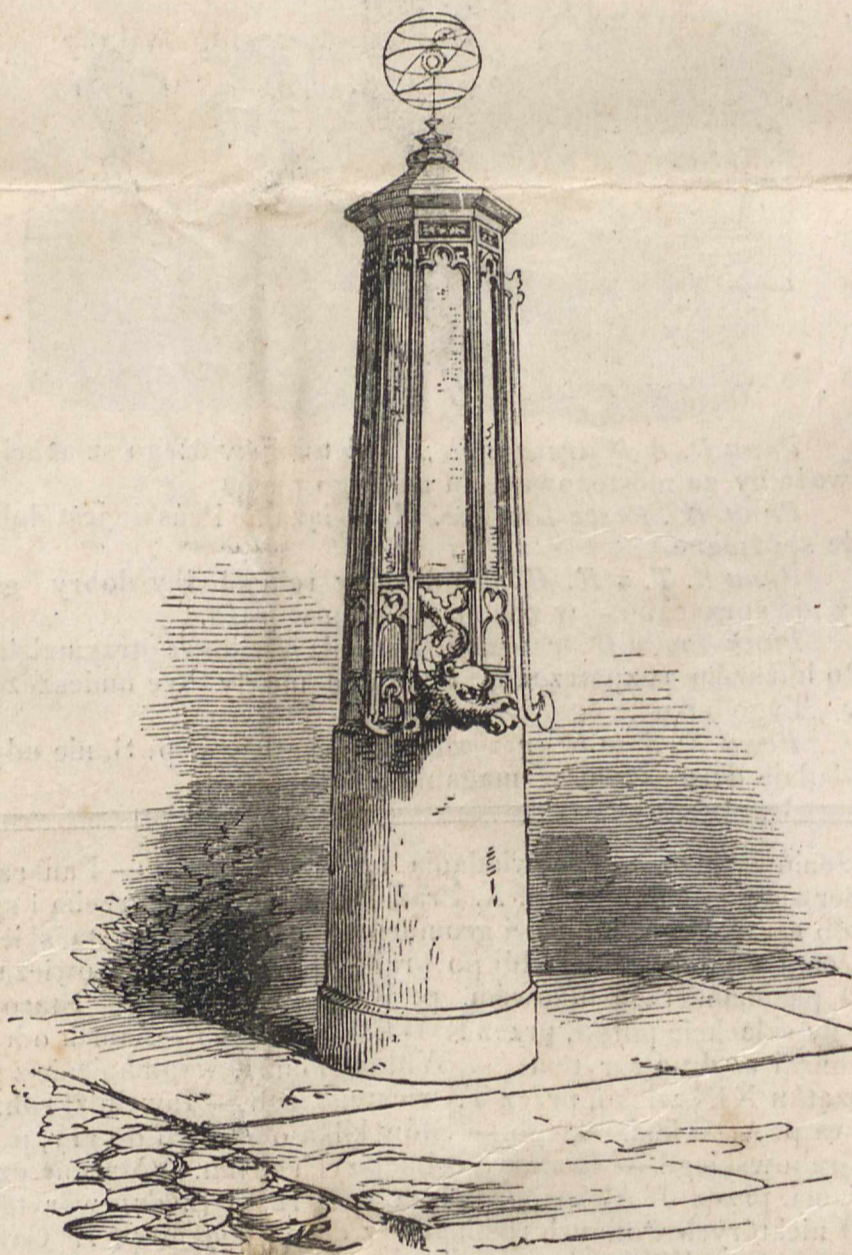
Jedyną pamiątką po naszym genialnym ziomku jest w księgozbiórce ratusza wielki, w arkuszowym formacie wolumin, a na nim napis: *De revolutionibus orbium coelestium*.

Oto jest wieczyste życie ducha! oto jest najwieksza, bo najżywotniejsza pamięć po człowieku! Dom ludzkie przestoczą, czas zetrze jego ślady; lecz dzieło poczęte w duchu, stworzone Boskim natchnieniem, pouczające narody, to niezniszczony pomnik sławy dla jego twórcy, to niespożyte wspomnienie zasługi narodu, co wyłonił z siebie tak wielkiego mędrca dla świata i nieskończonych wieków.



DOM MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU.

w greckich osłonach, w ręku cyrkiel i glob; to chluba narodu, nasz wielki Kopernik! Mój Boże, ile to lat przebiegło nad Toruniem, od czasu jak młode pachole, przyszła chluba narodu, igrało na tym placu; i wówczas te same mury poglądały na niego i innych, tak jak dziś na jego posąg. Usiadłem na stopniach mar-



STUDNIA MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU.

muru; myślą pogoniłem za postaciami ukochanych wspomnień. Łzy mi płynęły po rozpalonym licu, a zarazem czoło jaśniało dumą.

Nazajutrz poszedłem na ulicę świętej Anny, szukać domu Kopernika. Idąc, wyobrażałem sobie że napotkam jakąś poważną budowlę, poczerniałą od starości; że po wąskich wschodach, pod ciemnymi sklepieniami mieszczkańskich murów, wejść do małej izdebki, a w niej znaleźć pamiątki życia sławnego człowieka.

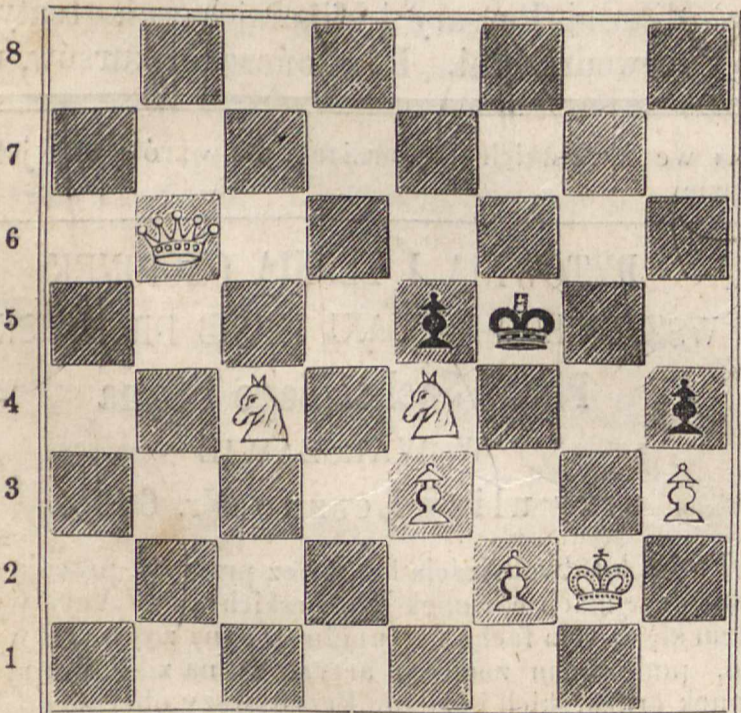
(\*) Jagiello, wezwany przez w. mistrza Krzyżaków Jungingena na układy do miasta Torunia, przechodząc jego rynkiem, został obłany przez kucharkę pomjami.

**SZACHY.**

ZADANIE VI.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania Ner 5.

Białe.

Czarne.

- 1) E 1 — C 1 . . . . . 1) D 4 — E 5 bierze
- 2) C 1 — F 4 † i mat.

To samo miałyby miejsce, gdyby czarne zastawiły się laufrem B 4 — C 3. Gdyby zaś czarne sunęły D 3 — D 2, wtenczas białe E 5 — D 5 † i mat.

**REBUS.**



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 7.  
Siedzi pod figurą, a nosi diabła za skórą.